



Rob Harrell
KOWBOJ ROSS

JAK PRZETRWAĆ
SZKOŁĘ, WIDZĄC
NA JEDNO OKO

Rob Harrell
KOWBOJ ROSS

**JAK PRZETRWAĆ
SZKOŁĘ, WIDZĄC
NA JEDNO OKO**

z języka angielskiego przełożył

Jacek Żółtawnik



Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2023

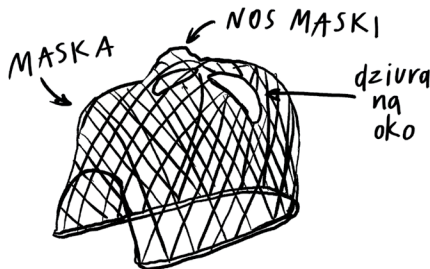
Dla Amber

ZDROWA PORCJA PROMIENIOWANIA

Leżę na metalowym stole pod wycelowanym prosto we mnie olbrzymim miotaczem promieni. Wygląda jak jedna z tych wielkich na cały pokój, pięcietonowych machin, za pomocą których superzłode w filmach chcą zniszczyć całą planetę.

– Czego słuchasz, Ross?

Wiem, że technik po prostu stara się mnie zagadać. Zasłania mi głowę i szyję sztywną siatkową maską, którą wczoraj dopasowano do kształtu mojej twarzy, i próbuje przymocować ją do stołu. Zatrząsk nie chce zaskoczyć. Technik dociska, marszcząc nos.



– Eee... różnych takich – mamroczę. W masce na twarzy nie bardzo mogę ruszać brodą.

Zatrząsk maski w końcu zaskakuje. Technik – ma na imię Frank – trąca mnie pięścią w ramię.

– No weź. Będziesz tu leżał pół godziny, posłuchałbyś czegoś. Mam prawie wszystko. Wybierz to, co lubisz. Nie bój się, nie ma złych odpowiedzi.

Przeczesauję pamięć.

– Może... niech pan włączy... radio?

Frank zastyga, po czym zgina się wpół, jakby ktoś go walnął w brzuch.

– Dobra... – mówi do podłogi. – Nie ma złych odpowiedzi poza tą jedną. – Prostuje się i wykrzywia usta. – Serio? Podo-
ba ci się ta chała z list przebojów?

– Bo... rodzice tego słuchają...

Co za głupkowata odpowiedź. Próbuję odwrócić wzrok, jak gdyby nigdy nic, ale nie mogę ruszyć głową.

Frank patrzy na mnie przez chwilę, a potem wzdycha z rezygnacją.

– Niech ci będzie. Ale umówmy się, że jutro mi powiesz, jaką naprawdę lubisz muzykę. Ty, nie rodzice. – Podchodzi do starego jak świat boomboksa stojącego wysoko na półce, tuż obok chwiejnej sterty płyt i kaset, i zaczyna przy nim majstrować.

Serio? Mają tu sprzęt za grube miliony, a nie stać ich na odtwarzacz empetrójek? Spod rękawa fartucha Franka wygląda fragment tatuażu. Jaszczurczy ogon? A może macka?

Rozlega się głos Beyoncé i nagle Frank poważnieje.

– Wiem, że wczoraj też to przerabialiśmy, ale powtórzymy sobie.

Zakłada ręce na piersi – przyciskając do niej podkładkę z dokumentami – i zaczyna wyjaśniać, takim tonem, jakby robił to już setki razy.

– Stół, na którym leżysz, podniesie się automatycznie i umieści cię we właściwej pozycji. Zabieg potrwa z grubsza dwadzieścia pięć minut. Nie wystawiaj kończyn ani żadnych innych niesfornych części ciała. Nie rzucaj w techników przedmiotami. Nie KARM techników. Nie machaj nogami, jakbyś trenował pływanie synchroniczne. Nie przechodź przez „Start”. Nie nuć kawałków Goo Goo Dolls, ponieważ GARDZĘ Goo Goo Dolls.

Frank odsuwa się, żeby zrobić miejsce swojej koleżance – zdaje się, że ma na imię Callie – która pochyła się nade mną i oblepia mi grzbiet nosa niebieską masą. Uśmiecha się i mówi, że to dla ochrony zdrowego oka przed promieniem. Potem poklepuje mnie po piersi. Mam nadzieję, że nie wyglądam na tak zestrachanego, jak się czuję – bo czuję się jak królik w pułapce. Pieką mnie policzki.

– Okej, a teraz najważniejsze – odzywa się znowu Frank. – Na mój znak zaczniesz się wpatrywać w czerwony iks, który zobaczysz nad sobą, kiedy będziesz podjeżdżać w górę. Ten, który wczoraj narysowaliśmy obok tego jakby lasera.

Maska nie pozwala mi skinąć głową, ale Frank widzi, że załapałem.

– Nie odrywaj wzroku od iksa, inaczej twoje oko rozpadnie się na milion kawałków, jak Gwiazda Śmierci, jasne?

Odpowiadam cichym chrząknięciem.

Frank kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Żartuję, Ross. Ale nie do końca. Patrz na iks, dobrze? Oko nie wybuchnie, niemniej pamiętaj, że zajmujemy się tu twoim wzrokiem, a to poważna sprawa. Wpatruj się w iks, bo... Po prostu patrz na niego i wszystko będzie dobrze.

Callie podchodzi do mnie, niosąc przedmiot w kształcie odwróconej litery U, który wygląda jak część fotelika samochodowego. Mocuje go na wysokości mojej twarzy i pomaga mi włożyć do buzi wyprofilowany ustnik, a ja zaciskam na nim zęby. Callie przyczepia nóżki nakładki do blatu. Klik, klik! Stół jest podłączony do wielkiego mechanicznego ramienia jak ze *Star Treka*.

Swędzi mnie nos, ale nie mógłbym poruszyć głową, nawet gdybym musiał, i gdy o tym pomyślę, aż mnie skręca w środku. Czuję się jak żaba na stole laboratoryjnym.

Frank i Callie spoglądają na mnie z góry.

– W porządku? – Callie przez skarpetkę ściska mnie za palec u nogi. – Chcesz koc?

– N-e e-ba.

– Okej. – Zakłada kosmyk włosów za ucho i uśmiecha się przyjaźnie. W ogóle wszyscy tutaj często się uśmiechają; pewnie widzą, jaki ze mnie kłębek nerwów. – Będziemy tuż obok. Dasz sobie radę.

Frank puszcza oczko.

– Zobaczysz, że nie ma się czego bać.

Oboje odchodzą gdzieś na lewo, ale nie mogę ruszyć głową, żeby podążyć za nimi wzrokiem. Światła przygasają, w tle Gwen Stefani śpiewa o bananach.

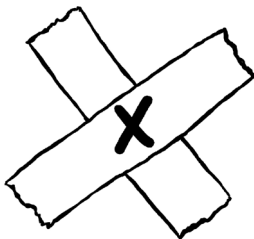
Przyznaję, to trochę straszne, kiedy zostaje się zupełnie sam na sam z całą tą maszyną. Z całym tym... sprzętem.

Zamykam oczy i nabieram dużo powietrza. Potem powoli je wypuszczam i słysząc swój drżący oddech, spinam się jeszcze bardziej.

– No dobrze, Ross – dociera do mnie metaliczny głos Franka zniekształcony przez trzeszczący głośnik. – Będziemy zaczynali. Rozluźnij się i cały czas wpatruj się w czerwony iks. Za moment ruszamy.

Po kilku sekundach ciszy rozlega się dudnienie, a potem słyszeć, jakby silnik zwiększał obroty. Pomieszczenie pełne

ciężkich maszyn ożywa i rozbrzmiewa bipnięciami, warkotem i szumem, który kojarzy mi się z wielkimi wentylatorami. Może urządzenia nagrzewają się od promieniowania? Pojęcia nie mam.



Stół wpada w drżenie i zaczyna jechać w górę.

– Houston, startujemy – trzeszczy w głośniku Frank.

PRZYGODY
BATPIGA

BATPIG

KONTRA

RADIOAKTYWNY

LAZER

BIEDNY BATPIG!
NASZ BOHATER JEST
UNIERUCHOMIONY, A W JEGO
BATCZASZKĘ CELUJE
WIELKI LAZER!

WYSTARCZY JEDNO
ZAPNIĘCIE I BĘDZIE
PO JEGO TWARZY!
MUSI DZIAŁAĆ!
SUPERSZYBKO!



WTEM! BATPIG DZIĘKI
SWOJEJ SUPER SILE
ROZRYWA KRĘPUJĄCE GO
PASY!

NAJPIERW WYKRZYWIA
LAZER TAK, ŻEBY TEN
ZZAPNĄŁ SAM SIEBIE.



A POTEM ŁAPIE
DOKTORA I ROBI MU
SUPERKOKOSA!

SPRAWIEDLIWOŚĆ
ZATRUMFOWAŁA. BATPIG
MOŻE W SPOKOJU ZJEŚĆ KANAPKĘ.



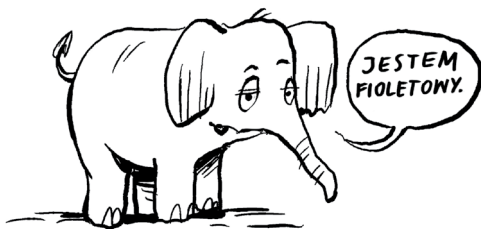
ROSS

PROTON PARTY!

Od kilku miesięcy moja znajomość terminów naukowych rośnie w niebywałym tempie.

Biopsja. Nowotwór złośliwy. Rak śluzowo-naskórkowy. Gruczoł łzowy. Resekcja. Triangulacja. Radioterapia protonowa. Chodzę dopiero do siódmej klasy, ale słowo daję, że jak się to wszystko skończy, od razu przyjmą mnie na medycynę.

Najtrudniejsze podczas zabiegu jest skupienie wzroku na czerwonym iksie. Strasznie się tym denerwuję. Bo jeśli ktoś ci powie, żebyś nie myślał o fioletowym słoniu, wtedy oczywiście jedyną rzeczą, o której jesteś w stanie myśleć, jest taki właśnie słon.



Im bardziej się staram nie ruszać okiem, tym chętniej spojrzenie ześlizguje mi się z iksa. Mój umysł też gdzieś odpływa i wraca wspomnieniami do dnia, kiedy wszystko się zaczęło...

Było kilka naprawdę Złych Dni. Przez duże Z i duże D. Pierwszy zdarzył się kilka miesięcy temu, mniej więcej w połowie lipca, w samym środku czegoś, co w założeniu miało być wspaniałymi, relaksującymi wakacjami.

Napięcie przed Złym Dniem numer jeden zaczęło narastać, kiedy leżąc na brzuchu, czytałem *Zabić drozda* z letniego zestawu lektur. Nie cierpiałem zadań domowych na wakacje, ale musiałem przyznać, że akurat ta książka okazała się wciążająca. W pewnej chwili wstałem i poszedłem do kuchni. Jak tylko przekroczyłem próg, tata spojrzał na mnie zdziwiony.

– Co tam masz?

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Zajrzałem do spiżarni w poszukiwaniu jakiejś przekąski.

– Gdzie?

Tata ostrożnie dotknął skóry nad moim okiem.

– Boli?

– Ale co? – Wyszedłem na korytarz i popatrzyłem w lustro.

Miałem spuchniętą powiekę – przypominała nadymającą się żabę.



– O rany! Nieźle! – Dziobnąłem bąbel palcem. Wyglądał paskudnie, jakby był pełen jakiegoś płynu. Tata spytał, czy coś mnie ugryzło lub użądliło (nie), albo może o coś się uderzyłem (też nie), i w końcu postanowiliśmy po prostu przyłożyć do niego lód.

Opuchlizna zeszła w ciągu pół godziny i szybko o niej zapomnieliśmy.

Aż do następnego dnia – czyli niedzieli – kiedy to znowu obudziłem się z żabim okiem. Jeszcze raz przyłożyliśmy lód. W poniedziałek rano tata tylko na mnie spojrzał i od razu złapał za telefon, żeby wziąć wolne w pracy – co oznaczało, że sprawa jest naprawdę poważna – i pojechaliśmy do doktora Shefflera, okulisty.

Doktor Sheffler powiedział, że trzeba mi zrobić „skan”.

Zanim dotarło do mnie, że mówi po doktorsku i chodzi mu o tomografię komputerową, przez chwilę wyobrażałem sobie, jak otwiera pokrywę wielkiego skanera i każe mi położyć się w środku.

Pół godziny później znalazłem się w wiekowym budynku tuż obok szpitala. Przebrałem się w koszulę szpitalną – ten odsłaniający półdupki, najidiotyczniejszy strój, jaki kiedykolwiek wymyślono, założyłem krótkie brązowe skarpetki z bieżnikiem i ruszyłem przed siebie zimnym korytarzem. Położono mnie na stalowym łóżku, po czym wsunięto do ogromnego mechanicznego pączka z dziurką, tak że wystawały mi tylko nogi. Na tym etapie zacząłem się naprawdę de-nerwować i trochę pożałowałem, że tata został w poczekalni.

W pewnej chwili wyrósł przy mnie pielęgniarz olbrzym – serio, facet wyglądał, jakby po godzinach grywał w rugby – i wbił mi w ramię wenflon do kroplówki (to była pierwsza z jakichś trzech miliardów igieł – o ile dobrze liczę – które od tamtej pory gościły w moich żyłach).

– Posłuchaj uważnie, Ross – ostrzegł. – Kiedy podam ci kontrast, poczujesz się tak, jakbyś zsiąkł się w majtki.

Roześmiałem się, ale gdy kilka minut później kontrast w końcu popłynął przez plastikową rurkę, nagle zrobiło mi się ciepło i rzeczywiście miałem wrażenie, jakbym SIKĄŁ W MAJTKI!

Mimo że przecież NIE SIKĄŁEM! I nawet NIE MIAŁEM na sobie MAJTEK!

Strasznie dziwne odczucie. I chyba bardziej realistyczne, niż gdybym naprawdę popuścił.

Wybaczcie.

Odbiegam od tematu.

Po badaniu poszliśmy z tatą do kawiarni, bo mają tam rewelacyjne koktajle i kanapki.

Doktor Sheffler powiedział, że musimy poczekać dwa, trzy dni na wyniki, dlatego na razie przestałem o tym myśleć i kiedy tata parkował, zaprząłem umysł do komponowania składników wypasionej kanapki, którą za chwilę pochłonę.

Nagle zadzwonił telefon taty. Tata spojrział na ekran i ściągnął brwi. Odebrał, łypiąc na mnie.

– Halo?

Nie słyszałem głosu rozmówcy.

– Tak, to ja... Naprawdę? Już?... Aha... Teraz?... Rozumiem. W porządku... Tak, jak najbardziej. Będziemy za pięć minut.

Rozłączył się, powoli wsunął aparat z powrotem do kieszeni dzinsów i dopiero wtedy powiedział:

– To był... doktor Sheffler. Dostał wyniki tomografii. Chce się z nami od razu zobaczyć.

– Aż tak źle?

– Nie... – Tata przekręcił kluczyk w stacyjce. – Nie sądzę. – Starał się nie okazywać niepokoju, jednak mina mu zrzedła. – Wiesz co, wrócimy teraz do szpitala, a do kawiarni pojedziemy... no wiesz, po wszystkim.

Zasypałem go pytaniami, ale zapewnił mnie, że lekarz nic mu więcej nie powiedział.

Potem zamilkł, co było do niego niepodobne. Wiele bym wtedy dał za jakiś żarcik albo jeden z tatowych docinków.

– O, jesteście! – zareagował doktor Sheffler, kiedy ponownie zapukaliśmy do drzwi jego gabinetu. Zaczepił stopą o nóżkę taboretu na kółkach, podsunął go sobie i usiadł naprzeciwko nas. Odłożył na biurko kartę pacjenta, którą trzymał w ręku, po czym nachylił się i oparł łokcie na kolanach jak trener drużyny koszykarskiej podczas narady z zawodnikami. Tata się spał. Ja zacisnąłem palce, aż zatrzęszczały w stawach.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechaliście – odezwał się, ważąc słowa. – Nie będę owijał w bawełnę. Otóż tomografia ujawniła guz tuż nad twoim prawym okiem. – Spojrzał prosto na mnie, mocno zaciskając usta.

Jego mina mówiła: „Przykro mi, że musisz to ode mnie usłyszeć”, a jednocześnie: „To poważna sprawa, o której musimy porozmawiać jak dorośli”.

– Naprawdę?

Nigdy nie zapomnę, jakim tonem tata zadał to pytanie. Jakby się właśnie dowiedział, że smoki istnieją. Albo że dzień jest nocą i na odwrót.

To ostatnie, co zapamiętałem z tej rozmowy. Serio.

Znaczy się, nie zemdlałem, nic z tych rzeczy. Po prostu trochę mnie zamroczyło. Docierały do mnie tylko urywki zdań.

- ...guz? Na tym etapie za wcześnie...
- ...biopsję najszybciej, jak to możliwe...
- ...być może jest łagodny, ale lepiej...
- ...w gruczole łzowym nad prawym...
- ...wielkości gumy do żucia w kulkach...
- ...nie ma potrzeby panikować...

Raptem przeszliśmy do ponurych uścisków dłoni i podziękowań. Zaplanują to i tamto, odezwą się, tak, będziemy w kontakcie.

Po chwili znaleźliśmy się z tatą na zewnątrz. Usiedliśmy na schodkach przed głównym wejściem.

Tata otoczył mnie ramieniem i zmierzwił mi włosy. Cmoknął mnie w czubek głowy, jak gdyby nigdy nic, ale przecież widziałem, że trzęsie się z nerwów.

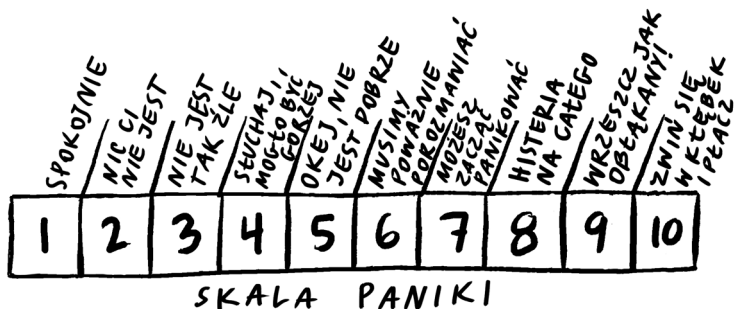
– Wszystko będzie dobrze, Ross. Okej? Skubaniec jest najprawdopodobniej łagodny.

Posiedzieliśmy tak parę chwil. Przytulony do taty nie mogłem się uwolnić od natrętnej myśli: „Czy to coś poważnego? A jeśli tak, to jak bardzo?”.

Pamiętałem, że mama przechodziła to samo, kiedy miałem jakieś cztery lata. I że „łagodny” guz to ten dobry. A raczej nie

tyle „dobry”, ile niekoniecznie bardzo groźny. Tym zdecydowanie złym był „złośliwy”. Nazywał się Rak przez wielkie R.

No dobrze, ale... co teraz? Powinienem się rozplakać? Wyjąc i lamentując, rzucić się na ziemię? Byłoby łatwiej, gdyby doktor Sheffler wręczył mi diagram z podziałką od jednego do dziesięciu, zakreślił szóstkę i oznajmił: „Oto, jak powinna wyglądać twoja reakcja na tym etapie”.



Tata zostawił mnie na stopniach i odszedł kilka kroków, żeby zadzwonić do Lindy, mojej macochy. Potem wybrał numer do babci w St. Louis i podał mi telefon. Pociągając nosem, w kółko powtarzała: „Och Rossy, Rossy”, zanim się wreszcie rozłączyła.

Zastanawiałem się, czy wysłać esemesa do moich przyjaciół, Abby i Isaaca, jednak nie zrobiłem tego. Nie miałem pojęcia, co mógłbym im napisać.

Później, gdy już wróciliśmy do domu, Linda podała na kolację coś żółtego. Pogrzebałem trochę łyżką w talerzu, jednak ostatecznie nic nie zjadłem.

Pamiętam, że zszedłem do piwnicy i grałem w *Annihilation: Moon*, aż rozboleły mnie kciuki.

Wreszcie zapadł zmierzch, bo nawet najgorszy dzień musi się kiedyś skończyć. Położyłem się do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Wpatrywałem się w płasy reflektorów na suficie i wsłuchiwałem w przyciszone głosy taty i Lindy dobiegające z sąsiedniego pokoju.

Nie czułem zupełnie nic.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki.

Tytuł oryginału: *Wink. Surviving Middle School With One Eye Open*
© Copyright by Rob Harrell, 2020
© Copyright for the Polish translation by Jacek Żuławnik, 2023
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2023.

ISBN 978-83-8150-484-3

wydanie I

wydawnictwodwiesiostry.pl

tekst i ilustracje: Rob Harrell
redakcja: Marta Kowerko, Dominika Cieśla-Szymańska
korekta: Anna Mirkowska, Martyna Kukula
projekt okładki: Ewa Stiasny
skład wersji elektronicznej: Klaudia Kosińska

Ta książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw, jakie im przysługują.

Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym.

Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści
i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

00-391 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem
handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).